Rok VI. 31-go października 1887 r. Nr 20

PRZEDPŁATA WYNOSI:

W Szwajcaryi, Francyi Belgii i we Włoszech: 5 franków.

W Niemczech z przesyłką w kopertach 10 fr.

Organizacyje socyjalistyczne i robotnicze korzystać mogą z ułatwień.

WYDAWNICTWO „WALKI KLAS“

PRZEDŚWIT

(L'AURORE)

CZASOPISMO SOCYJALISTYCZNE

WYCHODZI DWA RAZY NA MIESIĄC.

PRZEDPŁATA WYNOSI

W Austryi 5 guldenów
W Rosyi 5 rs.

Cena Numeru pojedynczego 20 centimów, pod opaską 25 cent., w kopercie 40 centimów.

Prenumeratę i korespondencyje z kraju nadsyłać należy w listach rekomendowanych

Adres Redakcyi i Administracyi GENEVE, Chemin Dancet, 15 Imprimerie de l'Aurore.

Podłe dusze i dobre serca

Gazety donoszą o dobrych sercach warszawskich panów i warszawskich pań. Oto niedawnemi czasy założono w Warszawie towarzystwo... karmienia ptaków i ptaszków. Co robią członkowie tego towarzystwa? Oto zakupują ze składek towarzystwa ziarna i bułki, chodzą po ogrodach miejskich i karmią ptaszki.

Widocznie stary pan bóg, który zapewnił ptakom życie pomimo że nie sieją ani orzą, musiał zbankrutować, bo ptaszki są głodne w Warszawie. Kto wie, co sie stało z tym bogiem? Może przeszedł on, jak papież, na stronę Bismarka i chce wygłodzić ptactwo, żyjące na ziemiach polskich. Albo może i w niebie powiększają wciąż armije i oto zwiększone wydatki na wojsko zmusiły pana boga do zaprzestania swej hojności względem ptaków. Nie możemy powiedzieć dlaczego ptaszki są głodne — dość, że są. By zaradzić temu, wystrojeni panowie i piękne panie zajęły się losem opuszczonych przez boga stworzeń i karmią... ptaszęta. Co za dobre serca i serduszka!..

Ptaki zatem będą teraz nakarmione i będą świergotać. Panowie polscy i panie polskie będą chodzić teraz po ogrodach warszawskich otoczeni stadami ptaszków, witającemi swych dobrodziejów i dobrodziejki. Z rąk pańskich wykarmi się cały ród ptasi i błogosławić będzie swych opiekunów.

Przed bramami wszakże ogrodów snują się postacie także drobne: są to dzieci żebrzące, są to istoty ludzkie, które nigdy nie miały obietnicy boskiej, że będą żyć nawet wtedy, gdy siać i orać nie będą. Przeciwnie: one chcą siać i orać, ale nie mają gdzie i co, nie mają gdzie przytulić sie, nie mają gdzie wyciągnąć swe członki. Nieśmiało podnoszą one rekę żebrzącą, nie mając odwagi zająć nią zbyt dużo miejsca; zaledwo dłoń wystawiają, by nie być zbyt natrętnymi.

A jeszcze dalej od ogrodów w ciasnych izbach i w nędznych domach setki i tysiące matek nie wiedzą czem nakarmić swe dzieci zgłodniałe. Po mieście zaś całem rozrzuconą jest ludność, którą robotniczą nazywają i która ginie z nędzy i z nadmiaru pracy.

Więzienia przepełniają się ludźmi opuszczonymi od społeczeństwa, którzy w trosce swej o chleb powszedni, z rozpaczy, iż takowego nie mogą sobie zdobyć, doszli do przestepstwa. Na ulicach snują sie postacie nędzne, których ludzkość stara się pozbyć, zamykając je do domów zarobkowych, do przytułków nędzy i do szkół zbrodni. Gdybyśmy zaś chcieli przejść do opisu miasta w nocy... ale wtedy wszak śpią dobre serca i serduszka panów i pań warszawskich.

Ale czemu się tu dziwić! Ptaszek zdechł z głodu może albo z czego innego — panowie i panie mogą się rozczulać spokojnie i bez wyrzutu sumienia, mogą wylewać łzy nad zmarnowanem życiem ptaszka, który już nie będzie w stanie świergotać panom.

Ale co innego, gdy człowiek umiera z głodu, gdy człowiek marnieje. Nad jego losem serduszko pańskie nie może się rozczulać, nad jego ciałem piękne panie nie mogą wylewać łez — bo trup powstałby i oskarżyłby ich o zbrodnię nad nim dokonaną, bo wskazałby na piękne stroje i drogocenne kosztowności, które mu skradziono, bo wołałby o pomstę nad wyzyskiwaczami, którzy fałszywe łzy wylewają. Strach wiec powstrzymuje panów i panie od widoku tego i... pędzi ich w objęcia ptaszków.

Szczęśliwe ptaszki! Na nich nie masz prawa o żebractwie i o włóczęgostwie. I nie dziw! Wszak ptaszków do fabryki nie zapędzisz, ale jak śmie ta istota, która nadwartość może stwarzać, chodzić po ulicy „nie zajęta niczem“; jak śmie ona prosić o chleb, nie oddając w zamian swej kilkunastogodzinnej pracy! Co innego ptaszki!

* * *

Na ulicach nie masz już żebraków; ręce biedaków nie wyciągają się już nieśmiało. Przeciwnie: setki tysiecy rąk podnosi sie śmiało i groźnie, powietrze napełnia się krzykiem, domagającym się sprawiedliwości. Wtedy serduszka dobre skryją się w norach i oczekiwać będą zapłaty za swe podłe dusze; wtedy nastąpi wymiar sprawiedliwości, który weźmie pod uwagę... karmienie ptaszków; wtedy zniknie hypokryzyja i jezuityzm dzisiejszy, dozwalający na podłość duszy przy dobrem serduszku!

Nie bójcie się o los ptaszków! Im się wtedy nic złego nie stanie! Owszem: przyroda cała uśmiechać się będzie, gdy życie ludzkie ujęte będzie w sprawiedliwe i rozumne formy społecznego współżycia.

CZEGO NAM OSZCZĘDZAĆ TRZEBA?...

Ci, którzy nie czują ani głodu ani chłodu,— ci, których byt jest niezależny, — ci, którzy pancerzem kapitału ochronieni są od wypadków losu, — ci wszyscy zalecają robotnikowi oszczędność!

Dla zachęcenia do oszczędności dowodzą ci panowie, że właśnie tej cnocie zawdzięczają oni swój majątek, swoje dochody i swe panowanie nad najemną pracą.

Wiemy dobrze o tem, że nagromadzanie bogactw bynajmniej nie od oszczędności pochodzi, że dzisiejsza prywatna własność narzędzi i środków produkcyi powstała wskutek gwałtów, grabieży, kradzieży z przemocą i i kradzieży, usystematyzowanej w prawny ciągły wyzysk pracy.

Wiemy dobrze o tem, kto rodzi dzisiejszy dobrobyt, a także i o tem, że klasy posiadające najmniej przez oszczędność i wstrzemięźliwość doszły do dzisiejszego swego położenia... uprzywilejowanego.

Wiemy i o tem, że gdyby zasadę oszczędności przeprowadzono w dzisiejszem społeczeństwie do ostatnich konsekwencyj (skutków, granic), to kryzys panujący byłby stokroć dotkliwszym. Wreszcie wiemy i o tem, że klasy pracujące nie mają z czego oszczędzać, że nawet przypuściwszy możność zaoszczędzania przy nizkiej płacy roboczej — kryzys, choroba i inne wypadki są tuż pod bokiem, by rozbić na miazgę glinianą i po większej części pustą skarbonkę robotniczą.

O tem wszystkiem dziś nie będziemy mówili, zwrócimy natomiast uwagę naszego czytelnika na kilka innych objawów, które towarzyszą dobrym ale nie skutecznym radom, jakie bogaci biednym udzielają.

Oto brat nasz Piotr, który od gęby sobie odbiera, byleby co tydzień zanieść coś do kasy oszczędności, któremu niedawno ojciec zmarł dla braku lekarstw i który sam prędszym krokiem zmierza do grobu niż do majątku, tyle bowiem pracuje nad siły, jednem słowem nasz Piotr tak wychwalany przez fabrykantów zaczyna się spostrzegać, iż co wkłada do skarbonki, to mu ubywa na płacy roboczej. Piotr się zapracowywał, zaczął robić nad siły, wykańczał przez jeden dzień dwa razy tyle niż jego towarzysze pracy. W fabryce jest kilku, kilkunastu nawet Piotrów; toż samo dzieje się gdzieśindziej. Wobec cudów, okazywanych przez gorliwość piotrową, panowie fabrykanci obcieli im płacę na każdej sztuce. Ale z cnotą walczyć trudno, to też Piotry nasze pomimo obciętej płacy zarabiali toż samo, albowiem zwiekszyli swe wysiłki, pomnożyli swe godziny pracy. Cóż robić w obec takiej gorliwości, zapytali się fabrykanci? Trzeba ją zachęcać do wytrwałości, brzmiała odpowiedź; trzeba ją pobudzać do życia i do wzrostu; najlepszym zaś na to środkiem będzie nowe zmniejszenie płacy zarobkowej. I zmniejszono ją; w nagrodę za gorliwość fabrykant płaci już dziś mniej od sztuki każdej.

Cnota piotrowa jest jak ze skały; głucha ona na podszepty agitatorów. Ale cóż z tego! Re-

ce piotrowe są słabsze od jego duszy! Dziś już nie jest on w stanie zwiekszać wysiłek swej pracy; przeciwnie: wszystko mu trudniej idzie, wszystko mu kostnieje i zatrzymuje się w ręku. Piotr już dzisiaj mniej może pracować, a na płacy stracił on dużo, własnemi bowiem rękami skracał ją coraz bardziej. Piotrowi chciało się oszczędzać; kupił skarbonkę, do której kładł swój chleb codzienny, swe jadło, swą głowe, swój odpoczynek, swe kości i krew. Dziś dzwonią tam miedziaki, w które zmieniło się jego ciało i krew; ale z Piotra samego więcej ubyło niż do skarbonki przybyło. W dodatku płaca została obciętą — coraz mniej wchodzi do skarbonki, coraz więcej zeń wychodzi. Zupełnie zaś uleciały z dymem siły i zdrowie piotrowe!

Biedny Piotr! Kapitalistą nie został, sam płacę sobie zmniejszył a i innym odjął, — siebie i towarzyszy swych skrzywdził, bo nadmiarem pracy przyczynił się do ogólnego obniżenia płacy zarobkowej, — swoim i braci swych zabójcą został, bo przez swą wiarę w dzisiejsze porządki społeczne zmusił siebie i innych do większych ze swego zdrowia ofiar na rzecz kapitalisty.

Nie inaczej powiodło się i Pawłowi oraz jemu podobnym. Ta kategoryja robotników krzywi się na prawo fabryczne, ścieśniające pracę kobiet i pracę dzieci. Toć Paweł i jemu podobni nie mieli nic spieszniejszego jak oderwać swe żony od zajęć domowych i posłać je do fabryki, a z niemi i drobne dzieci, niemowlęta prawie, które mnożąc skarby przemysłu wracają do domu ze skarłowaciałymi członkami, z przerwanym rozwojem ich ciała. I Paweł oraz jemu podobni chcieli oszczędność, chcieli zbierać zapas pieniędzy; ale i ich spotkał zawód. Ich własne żony i dzieci obniżyły płacę, wycisnęły z warsztatów pracę mężczyzn dorodnych i naprowadziły zamiast wzrostu dobrobytu — większą nędzę i większe marnowanie się klasy robotniczej.

Ten sam los spotkał Pawła i jego towarzyszy, którzy, słuchając rad pańskich, nabrali przekonania, że robotnik nie powinien ani jeść ani pić, że najwyżej powinien on sobie pozwolić na to by utrzymać się przy życiu i przy... sile roboczej. I ich oszczędność zakończyła się zmarnowaniem zdrowia i sił, utratą wolności zarobkowania.

Nie mamy zamiaru dowodzić, iż robotnik powinien stracić natychmiast wszystek swój zarobek, chcieliśmy tylko wykazać, do czego doprowadza robotnika słuchanie rad pańskich. Wszystkie wyżej wymienione kategoryje pracujących nietylko nic nie zyskały, ale przeciwnie zaszkodziły sobie i ogółowi ludności pracującej. Właśnie one znajdują się teraz w ciężkiem położeniu a w dodatku pozbawiły się energii do walki z kapitalistami.

Trzeba oszczędzać! Czego jednak musimy szczędzać? Przedewszystkiem zdrowia naszego i sił naszych, czyli, innemi słowy, pracy naszej. W jaki sposób dojdziemy do oszczędzenia pracy naszej? Przez zmniejszenie dnia roboczego. Czem mniej oddamy pracy naszej nieopłaconej fabrykantom, tem więcej będziemy oszczędni.

Następnie należy oszczędzać naszą płacę zarobkową, nie pozwalając na jej obniżenia, a zatem musimy przeszkodzić temu, by lepiej opłacana praca mężczyzn dorosłych mogła być zastąpioną przez pracę kobiet i dzieci, pracę daleko gorzej opłaconą.

Musimy także oszczędzać nasze siły i zdrowie, zmuszając dzisiejsze rządy do zaprowadzenia przez państwo i kapitalistów opłacanych kas chorych, kas na zabezpieczenie od wypadków nieszczęśliwych, kas inwalidów pracy.

Jeszcze jeden mamy sposób oszczędzenia — a mianowicie: zapełnienie kas organizacyj robotniczych. Gdy miedziaki nasze napełnią skarbonki naszych stowarzyszeń robotniczych i gdy w ten sposób nadadzą im siłę, wtedy nasze bogactwo i nasza siła bezustannie wzrastać będą. Stowarzyszenia bowiem nasze będą w rękach naszych bronią, którą wywalczymy sobie lepsze jutro.

Ot jak oszczędzać należy!

Co za podłość!

Gazeta polska w Chicago — pisana dla ludu i odwołująca się wciąż do opieki Boga i Wolności w następujący sposób wyraża się o wyroku śmierci na anarchistów w Chicago: „Będą bimbać, jak kiełbasy w dymniku...“

A zatem bogobojność gazety polskiej pozwala jej mówić w ten sposób o wyroku śmierci, i patryjotyczne bredzenie o wolności nie przeszkadza temu nędznemu piśmidłu karczemną radością witać śmierć pięciu ludzi, którzy walczyli za prawdziwą i za jedyną wolność.

Nieraz już wykazywaliśmy, że pod płaszczykiem patryjotyzmu naszych panów i paniczów kryje się nie żądanie wolności, lecz żądanie samowolnego panowania nad ludem naszym; nieraz już zwracaliśmy uwagę, że w modłach do ukrzyżowanego kryje się myśl krzyżowania mas pracujących.

Nikczemny wykrzyknik *Gazety polskiej* z Chicago, mocno patryjotycznej, a jeszcze bardziej papieskiej, stwierdza wszystko to, cośmy o tych nędznikach mówili.

Jedno wszakże dziwi nas, mianowicie ten bezwstyd, ta brutalność, z jaką *Gazeta polska* pisze o obrońcach ludu pracującego. Żaden człowiek nie mógłby mówić w ten sposób o śmierci największego nawet zbrodniarza! Co więc podyktowało *Gazecie polskiej* podobne słowa? Oto nic innego, jak klasowa nienawiść. Zbankrutowany szlachetka polski, który radby wrócić do czasów pańszczyźnianych, nie mógł pohamować swej radości na wieść o niechybnej śmierci tych, którzy bronią lud od wyzyskiwaczy. I oto dlaczego spotykamy w *Gazecie polskiej* z Chicago wyżej zacytowany nikczemny wybryk.

W trochę przyzwoitszy sposób uradowały się z męczeńskiej śmierci anarchistów w Chicago inne pisma polskie. Nie mamy pod ręką wszystkich tych ścierek zadrukowanych, ale zaznaczymy tu, że *Gazeta polska* w Warszawie, niby to liberalna, założona przez Kraszewskiego, uważa w wykonaniu wyroku śmierci zwycięztwo „sprawiedliwości“ oraz „rozsądniejszych“ ludzi w Ameryce. Nierozsądnymi — według niej — są ci, którzy bronili życia niewinnie skazanych męczenników.

Podczas gdy „uciskana“ *Gazeta polska* tak gotową jest do stawiania szubienic, jeden z fagasów carskich, minister Giers, ten, który „uciska“, oświadczył się jakkolwiek niewyraźnie

---

UCIECZKA

(przeróbka z rosyjskiego)

Było to w wielką sobotę 188... roku.

Wieczór już dawno opuścił się na ziemię, która — za dnia ogrzana, a teraz z lekka obwiana świeżym oddechem nocnego wiosennego mrozu — zdawało się, że oddycha po cichu pełnemi piersiami: od tego oddechu, igrając w promieniach iskrzącego się gwiaździstego nieba, podnosiły się białawe mgły, jakby kłęby dymu kadzidłowego, idącego na spotkanie święta.

Wszystko ucichło. Niewielkie ruskie miasto T., pogrążone w chłodzie wieczornym, umilkło, oczekując rychło się rozlegnie pierwszy dźwięk dzwonu z wierzchu dzwonnicy katedralnej. Ale miasto nie spało. Pod przykryciem wilgotnego zmierzchu, w cieniu milczących, pustych ulic, można było zauważyć oczekiwanie. Życie zbiegło z ulic do domów i tam przyczaiło się. Czasami tylko przebiegnie spóźniony robotnik, który długo po fajerancie musiał czekać przy kasie na wypłatę albo przesunie się spóźniona dorożka.

Księżyc podniósł się już wysoko nad horyzontem, ale nie był jeszcze widoczny dla miasta. Miasto leżało w cieniu, szeroko rozlanym od wzgórza, na którym stał wielki smutny budynek. Dziwne, proste i sztywne linije tego budynku ponuro rysowały się na wyjaśnionem niebie; na ocienionej ścianie słabo odznaczały się ciemne drzwi. Cztery wieżyczki wrzynały się na rogach swymi ostrymi wierzchołkami w złociste morze blasku księżycowego, które stopniowo zalewało niebo.

Ale oto z wierzchołka dzwonnicy katedralnej zerwał się i przeleciał po powietrzu pierwszy dźwięk, potem drugi, trzeci... Za chwilę w różnych miejscach i na różne tony zadźwięczały i zachuczały dzwony; ich dźwięki splotły się w potężną, dziwną harmoniję i leciały i kręciły się w powietrzu. W ponurym budynku, ocieniającym miasto, słychać było także rozbite, suchotnicze brzęczenie, jakby sarkające na brak sił dla podjęcia się w powietrze za potężnymi towarzyszami.

W domach ognie pogasły; za to okna cerkwi błyszczały jarzącem się światłem. Ludziom jeszcze raz się zdawało, że obchodzą zwycięstwo miłości i braterstwa nad krzywdą.

* * *

W ciemnych drzwiach ponurego budynku zadźwięczały zamki. Oddział żołnierzy, brzęcząc bronią w ciemności, wyszedł, żeby zastąpić straż nocną. Po kolei podchodzili oni do rogów i zatrzymywali się koło nich na chwilę; od ciemnej garstki ludzi równym krokiem oddzielał się jeden, a poprzedni wartownik znikał wśród swych towarzyszy... Oddział posuwał się dalej, okrążając wysoką ścianę więzienia.

Biała, zachodnia ściana świeciła się od uderzających w nią promieni księżycowych. Na miejsce stojącego tutaj wartownika wyszedł młody rekrut; w jego ruchach widać było jeszcze wiejską niezgrabność; młoda twarz zachowała wyraz natężonej uwagi nowicyjusza, zajmującego po raz pierwszy miejsce, za które będzie odpowiedzialnym. Obrócił się twarzą do ściany, sztywno zarzucił karabin na ramię, postąpił o dwa kroki i zrobiwszy pół obrotu, dotknął się swem ramieniem do ramienia poprzedniego wartownika. Ten zwrócił do niego głowę i wygłosił mechanicznie zwykłą radę:

— Od rogu do rogu... patrzeć... nie spać... nie drzemać!.. — szybko mówił żołnierz, a rekrut słuchał z tą samą natężoną uwagą i w jego niebieskich oczach widać było jakieś szczególniejsze wyrażenie smutku.

— Zrozumiałeś?.. — spytał się feldwebel.

— Tak jest...

— No, pamiętajże!.. — srogo zauważył, poczem, zmieniwszy ton, przemówił bardziej łagodnym głosem:

— No, nie bój się, Piotrze!... Przecież nie jesteś babą.. Djabła, czy czego u licha miałbyś się bać?...

— Dlaczego djabła?.. — dobrodusznie odpowiedział Piotr, poczem dodał poważniej:

— Tak jakoś na duszy, jakby było ciężko...

Przytem dobrodusznem wyznaniu wśród żołnierzy dał się słyszeć śmiech.

— Oto macie wieś!.. — z pogardą przemówił dyżurny i ostro zakomenderował do powrotu. Straż miarowo stukając butami skryła się za rogiem i wkrótce kroki jej ucichły. Wartownik zarzucił karabin na ramię i zaczął chodzić wzdłuż ściany.

* * *

Wewnątrz więzienia przy ostatnim uderzeniu dzwonu zaczął się ruch. Ponura i żałosna

przeciwko powieszeniu anarchistów. Włoski minister Crispi, człowiek, który nie za makaron, ale za posadę ministra zbratał się z arcyszubienicznikiem Bismarkiem i zdradził demokracyję włoską, jednem słowem nawet taki łajdak, jak Crispi, oświadczył się przeciw wykonaniu wyroku.

Trzebaż było naszym gazetom, cierpiącym zresztą od ucisku policyjnego, wykrzykiwać wiwaty katu?!..

Co za podłość!..

Zkąd ona? Gdzie jej przyczyny? — W klasowej nienawiści, w chęci bezustannego i spokojnego okradania pracy ludowej!

Robotnicy polscy, nie zapominajcie tego! Dziś się zdradzili ci panowie, bo nie przypuszczają, by do ludu doszły ich słowa; jutro więc mogą ukryć swe prawdziwe myśli. Otóż zapamiętajmy sobie to, co dziś mówię, by wiedzieć, czem oni są i czem oni być nie przestaną!

LEON JASIEWICZ

Bywają chwile, kiedy rządy w obronie interesów swej burżuazyi albo dynastyi panującej chwytają za broń i staczają między sobą walki krwiożercze. Otóż ciekawem jest, że nawet w chwilach największego rozjątrzenia, bezpośrednio poprzedzających wypowiedzenie wojny, jest jedna rzecz, która potrafi na chwilę pogodzić rozżartych wrogów; — tą rzeczą jest nienawiść do socyjalizmu.

Zewsząd rozlegają się okrzyki wojenne w Austryi i Rosyi; pierwszej chciałoby się zgnieść jedynego, silnego przeciwnika w słowiańszczyźnie, by módz złączyć pod czerwono-żółtą chorągwią serbów, bułgarów itp. „ciekawe narodowości" — jak je nazywają niemcy — i w ten sposób otworzyć rynek dla towarów austryjackich i czeskich; druga, tj. Rosyja, musi rozbić potęgę austryjacką, bo i jej chciałoby się panować nad „młodszymi braćmi" w słowiańszczyźnie, a co ważniejsza nad Konstantynopolem i bogatymi brzegami morza Marmora.

W chwili tego zapału wojennego zjawia się w Wiedniu socyjalista rosyjski, Leon Jasiewicz, któremu udało się przed paroma laty zbiedz z pod łap żandarmów; udaje się on do Rumunii, więc nie zachowuje zbytecznych środków ostrożności. Ale za nim z Genewy jechali dwaj szpicle rosyjscy; na ich żądanie Jasiewicz został natychmiast zaaresztowany i wtrącony do więzienia.

Wiadomo, jak okropne są więzienia austryjackie; to też nic dziwnego, że nasz towarzysz, który już dawno cierpiał na piersi, dostał krwotoku i musiał być przeniesiony do szpitala. Żona, która za nim przyjechała do Wiednia, chciała mu przynieść ciepłe ubranie; nie zostało jej to dozwolonem! Wogóle nie dano jej widzenia z mężem przez długi czas; w ciągu zaś jego pobytu w Wiedniu widziała go tylko raz.

Ale trzeba było coś zrobić z więźniem. Według praw austryjackich przestępcy polityczni nie są wydawani obcym mocarstwom, wyjąwszy jeżeli brali udział w zamachu na życie panującego zbrodniarza. Dlatego też prokuratoryja rosyjska obwiniła Jasiewicza o udział w zamachu 1-go marca. Otóż łatwo było mu wykazać nieprawdziwość tego zarzutu, gdyż wtenczas właśnie znajdował się na wygnaniu.

Według wszelkich zasad prawnych, nasz towarzysz powinien był być natychmiast uwolniony, ale rząd rosyjski ma swoich szpiegów w ministeryjach austryjackich i takim szpiegiem jest p. Krzyżanowski, polak, tłomacz urzędowy, który zawiadomił Rosyję o tem, że pierwsze obwinienie upadło.

Wobec gróźb wojny i niebezpieczeństwa, które zagraża Austryi obecność szpiegów rosyjskich wśród urzędników austryjackich jest wymownym przykładem tej zgnilizny, która panuje w cesarstwie apostolskiem.

Z Rosyi przyszło natychmiast nowe oskarżenie, tym razem o ograbienie poczty. Jasiewiczowi udało się i tym razem dowieść, że nie brał w niczem udziału, gdyż znajdował się już za granicą; pomimo tego rząd austryjacki uznał, że wprawdzie zarzuty prokuratoryi nie mogą być dowiedzione, ale i Jasiewicz nie może dowieść swej niewinności!

Biedaka, plującego krwią i znajdującego się w wysokim stopniu suchot, wydano żandarmom rosyjskim, którzy natychmiast zawieźli go do strasznych lochów fortecy Pietropawłowskiej. Jeżeli co może go teraz uwolnić z ich szponów, to chyba śmierć.

Takie fakty dzieją się w przeddzień wojny!

Nasi towarzysze niemieccy mieli zamiar wnieść w parlamencie austryjackim interpelacyję do rządu z powodu nieprawnego zatrzymania Jasiewicza. Ale dla interpelacyi trzeba 15 podpisów. Naturalnie, że ich nie znaleziono. To było w porządku rzeczy.

Nasi towarzysze, socyjaliści niemieccy w Austryi, dziwili się, że nie mogli znaleźć ani jednego podpisu wśród polskich posłów. „Ci dawni rowolucyjoniści z 46 i 48 r. — piszą oni do nas — mogliby też ująć się za Jasiewiczem, choćby dlatego, że jest wrogiem caratu rosyjskiego." Nas to wcale nie dziwi: przeprowadzenie nowej drogi żelaznej, przy której można spekulować na dostawach, albo ustawy, zrzucającej podatki z bark pana na chłopa — to są rzeczy, które roznamiętniają naszych starych demokratników, ale zresztą nic. Posłowie polscy w parlamencie austryjackim są przedstawicielami jednej tylko klasy, w najgorszem znaczeniu tego wyrazu. Nawet takie niebezpieczeństwo, jak groza despotyzmu rosyjskiego, nie jest w stanie zniszczyć w nich klasowej zaciekłości.

Może są wyjątki między nimi? A jakże.., i to w rodzaju pana Krzyżanowskiego, szpicla rosyjskiego i fagasa austryjackiego w jednej osobie.

noc więzienna dawno już nie widziała takiego ożywienia. Można było sądzić, że z odgłosem dzwonu rzeczywiście przyszła tu swoboda: ciemne drzwi cel otwierały się jedna po drugiej. Ludzie w szarych chałatach z groźnemi kolorowemi łatami na plecach*) szli długimi szeregami po korytarzach i wchodzili do jasno oświeconej cerkwi więziennej. Widać ich było na prawo i na lewo; jedni wchodzili na górę, inni spuszczali się ze schodów; wśród głuchego łoskotu ich kroków rozlegał się czasami brzęk broni lub kajdanów. Wszedłszy do olbrzymiej cerkwi. cały ten szary tłum wlewał się do miejsca, odgrodzonego kratą i tam ucichał. W oknach cerkwi widać też było grube żelazne kraty...

Więzienie opróżniło się. Tylko w czterech rogowych wieżyczkach, w niewielkich, okrągłych, szczelnie zamkniętych celach, dziko rzucało się z kąta w kąt czterech samotnych aresztantów, przykładając czasami ucho do drzwi i łowiąc chciwie dolatujący z cerkwi odgłos śpiewu...

Oprócz tego w jednej ze wspólnych cel na pryczy leżał chory. Profos, którego zawiadomiono o nagłej chorobie, podszedł do niego w chwili, gdy aresztantów prowadzono do cerkwi i — pochyliwszy się — zajrzał mu w oczy, świecące dziwnym blaskiem i nieruchomo skierowane w przestrzeń.

*) Skazani na katorgę, tj. ciężkie roboty w kopalniach, mają w Rosyi na plecach łatę kolorową.

— Iwanow... hej... Iwanow... — odezwał się profos do chorego.

Ale aresztant nie słyszał tego; mruczał tylko coś niezrozumiałego do samego siebie; głos był zachrypnięty; wargi rozpalone poruszały się z trudem.

— Jutro do szpitala... — wyrzekł profos i wyszedł, zostawiwszy przy drzwiach kaźni jednego z dozorców. Ten ostatni uważnie popatrzał na leżącego w gorączce i pokiwał głową...

— Ech... bradiaga*)... bradiaga... Widać, żeś się nachodził... — i przekonany, że tu nie ma co robić, dozorca poszedł wzdłuż korytarza do cerkwi, zatrzymał się przy drzwiach zamkniętych i słuchał mszy, spełniając od czasu do czasu zwykłe pokłony.

W pustej celi rozlegała się niezrozumiała mowa chorego. Był to człowiek jeszcze nie stary, silny i krzepko zbudowany. Bredził, przypominając sobie i to, co niedawno minęło, a na twarzy jego widać było wyraz męczarni.

Los spłatał mu okrutnego figla. Przeszedł on tysiące wiorst, wśród lasu i dzikich gór, zniósł tysiące przykrości i niebezpieczeństw, pędzony trawiącą go tęsknotą do swobody, pod wpływem jednej nadziei:

— Ach... żeby ich zobaczyć... choćby tylko miesiąc... albo tydzień... byle pożyć wśród swoich, a później... niech się dzieje, co chce!..

*) Bradiaga, po polsku włóczęga, nazywają w Rosyi człowieka, który uciekł z Syberyi.

Na sto wiorst od miasta, z którego pochodził, dostał się do więzienia.

Ale nagle niezrozumiałe mruczenie ucichło. Oczy więźnia rozszerzyły się, piersi oddychają swobodniej. W rozpalonej głowie pojawiły się bardziej wesołe myśli...

Las szumi... Znany mu jest ten szum, równy, śpiewny, swobodny... Nauczył się rozróżniać głos lasu, mowę każdego drzewa... Wspaniałe sosny dzwonią wysoko, wysoko swemi gęstemi, ciemnemi igłami... Jodły szepczą cicho i ponuro; jasne wesołe modrzewie machają gibkiemi gałązkami; osika drży i szeleści swym czujnym liściem... Gwiżdże wolny ptak... strumień głośno i wesoło płynie w wąwozie kamienistym a szpiegi leśne: stada krzykliwych srok unoszą się w powietrzu nad temi miejscami, gdzie, ukryty w gąszczu, chyłkiem przemyka się zbieg...

Coś, jakby struga wolnego, leśnego wiatru, obwiało chorego. Podniósł się, odetchnął głęboko; oczy uważnie patrzą przed siebie i nagle pojawiło się w nich coś w rodzaju świadomości... Doświadczony więzień zauważył niezwykłe zjawisko: otwarte drzwi...

Potężny instynkt wstrząsnął całem ciałem, niedawno jeszcze objętem chorobą. Oznaki gorączki szybko znikały albo jednoczyły się około jednej myśli, która jasnym promieniem przecinała ten zamęt: sam!.. drzwi otwarte!..

Za chwilę stał on na podłodze. Zdawało się, że cały żar rozpalonego mózgu zjednoczył się w jego oczach: wzrok był błyszczący, uparty i straszny...

Zaburzenia studenckie w Rosyi

Cztery uniwersytety zamknięte

Już dwa tygodnie, jak trwają zaburzenia w uniwersytetach rosyjskich; napróżno rząd przez usta własnych sprzedajnych pisarzy oraz niewolniczo liżącej jego stopy prasy burżuazyjnej utrzymywał, że duch rewolucyjny wśród młodzieży ruskiej zagasł, że była to tylko garść „agitatorów", „podżegaczy", która uprzednio protestowała przeciwko despotyzmowi, że z ich wydaleniem wszystko się uspokoi. Kto śledził bacznie za życiem młodzieży rosyjskiej, ten nie mógł nie zauważyć, że wrzenie istniało, choć znikło z powierzchni. Wypadki ostatnich dni dowiodły to namacalnie.

Zaczęło się od uniwersytetu moskiewskiego. Tam, 1-go grudnia, na koncercie publicznym inspektor uniwersytetu, Bryzgałow, dostał policzek od studenta Sieniawskiego; Bryzgałow pełnił w uniwersytecie obowiązki szpiega i był przez studentów znienawidzony, to też Sieniawski ukarał go w imieniu wszystkich studentów; został on za to skazany na 3 lata służby w batalijonach karnych. Policzek, dany temu szpiclowi, był podmuchem, który w jednej chwili poruszył całe morze nienawiści i eburzenia, kołyszące się od dawna w piersiach studentów: bezczelne i idyjotyczne ukazy, pozbawiające prawa kształcenia się całe klasy ludności, bezustanne wydalanie ludzi, niemających przekonań żandarmskich, wreszcie nowa ustawa uniwersytecka, oddająca młodzież i profesorów pod jarzmo policyi — wszystko to nagromadziło w sercach całej ruskiej młodzieży tyle palnych materyjałów, że dość było jednej iskry, by one wybuchnęły jasnym płomieniem. Nazajutrz zebrało się w uniwersytecie około 400 studentów, wśród których byli i uczniowie akademii rolniczej i zażądali od rektora, by Bryzgałow został natychmiast wydalony, oraz by sprawa Sieniawskiego była uważana za rzecz tyczącą się wszystkich studentów, ponieważ wszyscy z nim się zgadzają. Rektor zgodził się na ich żądanie, ale — jak później zobaczymy — nie spełnił go. Za tymi czterystu poszli wkrótce i wszyscy; 4-tego grudnia tłumy studentów oblegały uniwersytet, wyrażając uznanie dla Sieniawskiego i żądając, by ich wydalono razem z nim. Jednocześnie do władzy uniwersyteckiej poszła deputacyja studentów z temi samemi żądaniami.

Nareszcie przyszedł dzień piątego grudnia, dzień, którego mieszkańcy Moskwy zapewne długo nie zapomną. Na placu około Strastnego Monasteru zeszło się mnóstwo studentów; mieli oni na celu zebrać wszystkie swe karty studenckie i odesłać je władzy, żeby w ten sposób pokazać jej, że jeżeli chce kogoś ukarać, powinna ukarać wszystkich. Nagle, bez poprzedniego wezwania, rzuca się na studentów oddział żandarmów konnych oraz kozaków. Zaczyna się walka między bezbronnymi studentami i uzbrojoną dziczą. Świadkowie opowiadają okropne sceny: tutaj kozak piką przebija policzek studenta, drugi uderzeniem nahajki obrywa mu nos, tam studenci uciekający są pędzeni przez rozwścieklonych żandarmów, którzy biją ich nahajkami, póki ci nie padną, a gdy wstaną, rzucają się na nich znowu. Wielu uciekało z twarzą pokrytą krwią, ze zwieszającymi się kawałkami ciała z policzków.

Dwóch studentów zabito na miejscu, trzech umiera z ran.

W jakim stanie są umysły studentów moskiewskich potem, opisywać chyba nie trzeba. Dość powiedzieć, że stała się rzecz niesłychana: profesorowie, którzy zwykle siedzą cicho w takich razach, posłali do generał-gubernatora deputacyję, złożoną z 9 ludzi, żądającą ułaskawienia zaaresztowanych studentów oraz uwolnienia uniwersytetu od hańbiącej go obecności policyi.

Studenci codzień zbierają się w salach uniwersyteckich lub u profesorów i wymogli na tych ostatnich, że prz staną wykładać, póki ich żądania nie zostaną zaspokojone.

Tymczasem 12-go grudnia uniwersytet został zamknięty i zarazem ogłoszono wyrok sądu uniwersyteckiego, który rozpatrywał sprawę 11 go grudnia. Wyrok był następujący: 9 studentów wydalono bez prawa wstąpienia do jakiegokolwiek uniwersytetu, 15 z prawem wstąpienia, ale po pewnym czasie. Ale to jest dopiero początek; uniwersytet jest zamknięty, a po otwarciu wpuszczeni zostaną tylko ci, których władza uzna za zupełnie odpowiadających jej żądaniom. W Petersburgu w ten sam sposób wydalono 200 studentów, w Moskwie spodziewają się czegoś podobnego.

Młodzież innych uniwersytetów odezwała się natychmiast z demonstracyjami, mającemi wyrazić współczucie dla kolegów z Moskwy. Dotychczas mamy wiadomość urzędową, że wskutek tego uniwersytet odeski, charkowski oraz kazański zostały zamknięte, a w Kijowie i w Petersburgu miały miejsce zaburzenia.

Rząd rosyjski widocznie wszedł na tę drogę, na której był już raz za czasów Mikołaja: stłumić w kraju wszystko, co nie jest policyją; wtenczas polityka ta doprowadziła państwo rosyjskie do tego, że maszyna państwowa została zawładnięta przez samych złodziei i łajdaków i że ostatecznie trzeba było zrobić pewne ustępstwa: uwłaszczyć włościan, dać wolność prasie i t. p.

Teraz przyłącza się jeszcze jedna okoliczność: istnienie partyi socyjalistycznej, która nie zadowolni się wolnością drukn, ale zażąda czegoś poważniejszego.

Panowie zaś studenci powinni o jednem nie zapomnieć: biją ich, bo w Rosyi biją wszystkich. Jeżeli studenci chcą zostać tylko studentami i bronić swych praw jako kasty, mając na widoku otrzymanie później urzędów i żywienia się przy burżuazyi — to kwita z przyjaźni, bo nas przywileje panów studentów, jako pomocników naszych wyzyskiwaczy mało obchodzą; jeżeli zaś czują się oni obywatelami kraju, to niechaj zrozumieją, że należy podporządkować swoje żądania żądaniom klasy robotniczej. Innej drogi nie masz dla uczciwej polityki.

Pokwitowania

Z kraju	135	rubli
Z kraju	65	„
Od Mi... z kraju . . .	20	„
Sprzedaż wydawnictw .	3	„
Ze sprzedaży Mirtowa .	50	„ 40 k.
Od Ernesta (wręczono M.)	21	„
Od Ernesta za listopad .	24	„
Od Ernesta za grudzień .	20	„
Od Paklikowskiego . .	2	dolary
Od Aleksandra Lapo: za Walkę Klas 2 dol. 40 ct.; za 5 Kwartalników 2 dol. 50 ct.; za broszury 4 dol. 75 ct.; za Przedświt 2 dol.; razem	11	dol. 65 c.
Ze sprzedaży fotografij .	5	marek

DRUKIEM „PRZEDŚWITU" W GENEWIE, CHEMIN DANCET, 15

Ktoś, wychodząc z cerkwi, otworzył na chwilę drzwi... Dźwięki równego, przytłumionego odległością, śpiewu obiły się o ucho więźnia i znowu umilkły... Na bladej twarzy błysnął zachwyt... oczy zamgliły się, a w umyśle zjawił się obraz, którego on nigdy nie zapomni: cichy wieczór, pole zamiejskie i śpiew inny, śpiew towarzyszy, którzy dążyli do tego, co i on... wstrząsającą duszę Marsylijankę... i on pospieszył się, żeby usłyszeć go znowu... wrócić do swoich...

Tymczasem na korytarzu, koło drzwi cerkwi, modlił się gorąco dozorca, przypadając co chwila do ziemi...

* * *

Młody rekrut chodził ze strzelbą wzdłuż ściany. Biała, gładka ściana świeci się blaskiem fosforycznym. Przed wartownikiem ściele się równe, daleko ciągnące się pole, niedawno wyzwolone z pod pokrycia śniegowego. Wiatr bieży po niem, szeleści suchymi bodjakami, dzwoni trawą przeszłoroczną i nawiewa do duszy żołnierza spokojne, smętne myśli.

Księżyc wysoko się podniósł. Strach znikł zupełnie z oblicza rokruta... Zatrzymał się on pod ścianą, postawił karabin na ziemi, oparł ręce na lufie, a głowę na rękach i zamyślił się głęboko. Nie zdawał sobie jeszcze jasno sprawy z tego, po co on tu stoi z karabinem koło muru, w pustem polu. Wogóle był on jeszcze zupełnym wieśniakiem, wielu rzeczy nie pojmował, które tak są zrozumiałe dla żołnierza; nic też dziwnego, że ci z niego kpili, nazywając go „chłopem..." Tak niedawno jeszcze był on swobodny, był gospodarzem, właścicielem swego kawałka pola, swej roboty. Teraz zaś niezrozumiały i nieokreślony strach towarzyszył mu na każdym kroku, przy każdym ruchu i wpychał młodą i sztywną włościańską naturę w surową formę służby.

Ale teraz był on sam... Widok, rozściełający się przed oczyma, i świst wiatru w bodjakach napędzały na żołnierza jakąś drzemkę i przed oczami jego zaczęły się przesuwać obrazy życia rodzinnego...

I oto... on widzi wieś; świeci nad nią ten sam księżyc i ten sam wiatr od niej wieje; cerkiew błyszczy światłem, a ciemne sosny pochyliły nad cerkwią swe zielone głowy...

Czasami żołnierz przychodzi do siebie i wtenczas w jego niebieskich oczach wyraża się zdumienie:

— Co to jest?.. pole... karabin... i ściana...

Poczem na chwilę przypomina mu się rzeczywistość, ale wkrótce smętny świst wiatru nocnego nawiewa mu te same widoki i żołnierz znowu drzemie, wsparłszy głowę na strzelbie...

Niedaleko od miejsca, gdzie stoi wartownik, na wierzchołku muru pokazuje się głowa człowieka... Oczy błyszczą, jak dwa węgle... Więzień patrzy na pole, na ledwo widoczny brzeg odległego lasu... Piersi jego pracują, chciwie łowiąc świeży, swobodny oddech matki... nocy. Opuszcza się na rękach i ześlizguje się po cichu na dół wzdłuż ściany...

* * *

Radośny huk dzwonów budzi ciszę nocną. Drzwi cerkwi więziennej rozwarły się, pokazując procesyję; rozległ się potężny śpiew. Żołnierz drgnął, wyprostował się, zdjął czapkę, żeby się przeżegnać i... zamarł z ręką podjętą do modlitwy...

Więzień dotknąwszy się stopami ziemi, szybko pobiegł ku bodjakom.

— Stój... stój!.. Mój drogi... kochany!... — krzyczy wartownik, ze strachu podnosząc strzelbę...

Wszystko, czego on się bał, przed czem drżał, nasuwa się mu na myśl, nieznane, straszne, pod postacią tej szarej, uciekającej postaci...

— Służba... odpowiedzialność!.. — błysnęło w głowie żołnierza, i on, podniósłszy karabin, wymierzył w uciekającego człowieka; zanim spuścił kurek, zamrużył oczy...

A nad miastem znowu krąży i unosi się harmonijny, śpiewny dźwięk... i znowu rozbity dzwonek więzienia brzęczy i rwie się, jakby jęk ptaka postrzelonego. Z za ściany daleko w pole niosą się pierwsze dźwięki pieśni tryjumfalnej: „Chrystus zmartwychwstał!"

Nagle... za murem, pokrywając wszystko, huknął wystrzał... Słaby, bezsilny jęk rozległ się po nim przedśmiertną skargą, potem na chwilę wszystko ucichło...

Tylko dalekie echo pustego pola ze smutnem szemraniem powtarzało wystrzał karabinowy wśród umilkłej ze strachu nocy...

KONIEC